

- O której rano musieliście wstać?

- Mama budziła się wcześniej.. Jeszcze kiedyś, póki tato nie wybudował parnika, to na płycie w żeliwnych garnkach gotowano ziemniaki dla świń i dla kur. Mama wstawiała o godzinie 4 -5. Ziemniaki gotują się, a mama przędzie aż podskakuje. To nie tak, że mama, o tu się gotuje, trzeba było ugotować jedzenie. Tutaj się gotuje, a mama siedzi i przędzie. No, już później, jak tato wybudował parnik, to już było łatwiej. Już tam był parnik, tam nasypali, i tam gotowały się te ziemniaki. A póki gotowały się na płycie... Ja nie wiem, jak kiedyś nasi ludzie ciężko pracowali. To nie do opowiedzenia.

- No. Nie było siedzenia.

- Absolutnie. Tak o, mama cały dzień siedzi, trzeba wieczorem oporządzić gospodarstwo, to ja już to robiłam, i dawałam świniom i gotowałam kolację. A mama siedziała i przędła. Siedzi, i o tak, zasypia... Mamo, to idźcie na trochę się połóżcie. „O, żebyś ty się odczepił i nie męczył mnie”. Mówię – Mamo, połóżcie się chociaż na kilka minut. I mama posłuchała, położyła się na 10-15 minut i już sen się odczepił i mama dalej kręci. To nie do opowiedzenia jak kiedyś ludzie pracowali.

- Później jeszcze mama starała się zrobić dla wnuczek. Mama starała się, żeby każda z nas miała dywany albo kapy (narzuty). Tak to było.

- I mama tkła?

- Mama tkła.

- A jak pani pomagała?

- A jak ja pomagałam? To co umiałam. Niewiele Jej w tym pomagałam. Pracowałam w kuchni, karmiłam kury, świnię, a mama tkła. Mama zawsze starała się żeby do Wielkanocy wynieść krosno. Żeby krosno wynieść przed Wielkanocą, a wielki post zawsze trwa 7 tygodni. Tak starała się żeby zdążyć wynieść krosno do Wielkanocy. A krosno w naszym domu było każdego roku. Tato nie chciał nosić innej bielizny niż lniana, kalesony musiały być lniane. Pamiętam nawet, że w dzieciństwie mieliśmy poszewki na poduszki też lniane, prześcieradło też musiało być lniane. Dlatego mama siedziała, kręciła i kręciła, przędła.

- A ile tego lnu trzeba było naprząć?!

- Oj, dużo!

- A dużo pola mieliście?

- Mieliśmy 7 hektarów, niewiele.

- Lnu?

- Nie, w ogóle, całego pola. I tak było, już wszyscy we wsi mieli gumowe wozy, bo tak było o wiele łatwiej. A my nie mieliśmy, bo nie było za co kupić. Tato całe życie miał problemy z kręgosłupem i nie bardzo miał siły. I tak mówią rodzice: A co my będziemy robić, jak my ten wóz zrobimy? I tato zawsze tak mówił: Wiesz co, stara. Na Herlikach posiejemy len. I za len zrobimy wóz. Herliki są tam dalej, jak jedzie się do Miedźwieżyk. To było (pole) dosłownie na 7 pokosów, wąskie, ale bardzo długie. Tato zasiał całą długość lnem. My z mamą pieliliśmy to i czasem byliśmy złe. A mama mówi: No cóż dzieciaku zrobisz, skąd weźmiesz pieniądze? No, musimy jakoś ten len opielić. A później trzeba wyrwać, później trzeba obić, a później trzeba było rozesać, poszukać dobrego ugoru żeby był równy teren i patrzeć, czy już jest gotowy, czy jeszcze nie. Później trzeba było...

- A jak długo powinien leżeć?

- Tak do 4 tygodni.

- O długo.

- To nie tak szybko, no. A później trzeba było zebrać, i później albo potrząpać. To jak piekli chleb, to mama bardzo dokładnie wymiatała z pieca żar, bo tak to wiadomo, zapali się.

- Aha.

- I wkładała ten len do pieca, w którym piekł się chleb i później, jak ten len był już suchy,

wyciągała. I tak, była taka specjalna cierlica, to było coś takiego jak ta listewka przy płosze. O, wkładało się i tak o, tym machało, machało się i tak cały czas, po garści i tarli. A już później, jak tego lnu już było bardzo dużo, to kopali dół i rozpalali słaby ogień i nad rusztem tam suszyli len i w lesie od razu tarli.

- Bo tak wozić i przywozić, to dużo niepotrzebnej roboty.

- Tak, to było za dużo żeby suszyć w piecu. I później, przez całą jesień, ja i mama stałyśmy i obrabiałymy, klepałyśmy, klepałyśmy i klepałyśmy. To nie raz była złość, jak nie wiadomo co. Pani Marto, pamiętam to jak dzisiaj, zdaliśmy wtedy 100 kilogramów lnu. 100 kilogramów! To nie żarty! Ile trzeba było natrzepać się. I te 100 kilogramów sprzedaliśmy i zrobiliśmy gumowy wóz (na gumowych kołach).

- Nie było krosna w domu?

- Nie, nie. Najpierw trzeba było przygotować. Mama siedziała i przędła, przędła, przędła, przędła.

- Jasne.

- No.

- I potem zaczynał się wielki post, wnosiliście krosna do domu.

- A jeszcze, przepraszam, a jeszcze było tak, że jak trzeba było, dajmy na to, na prześcieradła, to była jeszcze taka szczotka i trzeba było wyczesać, żeby ta nitka była cieniutka i czysta, to nie można było, że od razu bierzesz to otrzepane i przędziesz. Nie, to trzeba było na szczotce czesać, czesać, czesać. I co, co się wyczesywało, to później mama grubiej przędła i było na worki do ziemniaków.

- Jasne, jasne. I teraz tak, jak wnosiliście krosna do domu w wielki post, ponawijaliście osnowę. Najpierw mama robiła osnowę. Mama robiła osnowę gdzie, w domu?

- W domu.

- Też przynosiła snowadło?

- Tak, tak, ale snownica była naprawdę ogromna snownica.

- I robiła w domu osnowę i potem żeście nawijali. Kto pomagał w nawijaniu?

- W nawijaniu? To mama najczęściej Ninę Tokajuk najczęściej zapraszała. To była specjalista od wszystkiego, pani Nina Tokajuk.

- A gdzie ona mieszkała? W Mikuliczach?

- Tak, w Mikuliczach. Moja siostra, a dalej murowany dom, to tam mieszkała Nina Tokajuk.

Ona umiała przygotować osnowę narzuty, wiedziała jak, żeby nie zrobić pomyłki.

- Była od wszystkiego.

- Tak. I jeszcze takie coś pamiętam: jak już mama zaprosiła kogoś do pomocy, narzucić osnowę, to trzeba było umieć dobrze trzymać tę osnowę, bo było tak, że i z tej strony, jakoś tak wychodziło, były dłuższe nitki i z tej strony, że podkładali papier, żeby było równo.

- O właśnie. Jak już mama przygotowała nitki, to trzeba było na motowidło zwinąć, później z motowidła w kłębki, i z kłębków na snowadło. To jeszcze tyle roboty. A jeszcze było tak...

- A z ilu nitek snuli?

- Z dwóch, wydaje się.

- Z dwóch, więcej nie brali.

- Nie. A jeszcze, a było takie, jak to się nazywało, wiciuszka (narzędzie do rozwijania motków).

Ona nie stała tylko leżała. Trzeba było z kłębka na nią nawinąć. Tylko ładnie, mówiła mama. Żeby nie było splecionych nitek. Później ta wiciuszka stała i raz było z kłębka, a raz z wiciuszki na snowadło.

- Tak jak ze szpuli?

- Tak, tak.

- A ten drugi wał, to jak u was nazywali?
- Chyba wałek i już.
- A worotyło (wał nadawczy) to kiedyś mówili na kogoś?
- O, mówili. Mówili: ona tak się kręci jak worotyło (wał). Ty wałeczku.
- To było takie, żeby kogoś ochrzanić?
- Tak, no tak. No, wałek, nigdy się nie śpieszy, nic, no typowy wałek.

- Tkali jeszcze latem? Jak trzeba było na zamówienie, czy coś?
- Nie, mama nigdy nie tkła. Latem nie było na to czasu. Tylko raz w roku było krosno. Zawsze było tak: albo w tym roku narzuty, albo na prześcieradła, albo na worki.
- Każdego roku coś innego?
- Coś innego. A jak były narzuty, to zbierało się kilka gospodyń. O, to będziemy tkać w tym roku, ta i ta będzie tkła, to w krzyże, to w okna, to jeszcze w coś tam takie inne. Umawiały się i stawiały czy u Anastazji, czy u Olgi, czy gdzieś tam.

- I z tych wszystkich ciężkich prac, która z tych prac była dla was najprzyjemniejsza taka, dziewczyny? Jako wtedy młode dziewczyny.
- Nie powiedziałabym żeby to było coś przyjemnego. Bo to nie było tak, że nie będę. Wiedziałam, że trzeba to zrobić i koniec. Trzeć nie bardzo lubiłam. A już to trzepanie, jak my całą jesień, od jesieni i nie pamiętam jak długo stałyśmy we dwie w chlewie codziennie, codziennie, codziennie i trzepałyśmy. To nieraz to już prawie płakałam.
- Teraz to my się śmiejemy...
- No, nie powiedziałabym, że coś było przyjemne.
- To znaczy, w czasie tkania to nie było takiej wielkiej tragedii. Bo jak mama siedziała przy krośnie, to ja starałam się, żeby mama jedynie śniadanie ugotowała. A już później, to był mój obowiązek. I świniom podać i kury nakarmić, i znów ziemniaki ugotować dla świń czy dla kur, i posprzątać.
- Jak mama tak już siadła do krosna, to już siedziała cały dzień?
- Cały dzień.
- Jak mama zaczynała tkać, to prąd na pewno już wtedy był. Może jeszcze, jak ja tam nic nie brałam pod uwagę (jak byłam mała i nie zwracałam uwagi), to może. Ja jeszcze pamiętam lampę w domu. Pamiętam. Była płyta, i ścianówka, i tato zawsze siedział przed płytą, tato czytał bardzo dużo książek.
- O proszę.
- Pamiętam jak dzisiaj, „Don Kichot” to taka książka była. Tato jak siedział zimą, to albo wypłatał korobki, albo kosze.
- A te korobki z czego robili?
- Słoma i łyko, ale łyko to było chyba najczęściej z leszczyny. I tato tak siedział i nożykiem strugał to łyko, te wiórki zsuwały się, zsuwały się. Powstawały różne naczynia. Taka duża, jest jeszcze jest jedna, a korobki mam jeszcze dwie.
- I one do czego były?
- Przeważnie do zboża. Korobka była do zboża. I tato wypłatał też kosze. I jeździł do lasu, wycinał jałowiec. Jałowiec też nożykiem strugał, strugał. W domu było śmieci nie wiadomo ile! No ale niestety. Jeszcze do dzisiaj mamy kosze taty.
- A co tato mówił na to, co mama tkła? Komentował to jakoś?
- A tato był bardzo zadowolony. Jak tkła jakąś narzutę, to mówił: „Ale będzie piękna!” Cieszył się jak mama tkła w te okna, czy w krzyże.

- A chcesz mieć na św. Antoniego ładną nową sukienkę? A pójdź, nieboże, nazbieraj skrzypu, czy innych ziół, wysuszysz i zawieziesz do Kleszczel i sprzedasz. Kupisz sobie materiału na sukienkę. Na skąd ja ci wezmę? Nie mam z czego. I już.
 - Mama szyła sukienkę?
 - Mama nie szyła sukienek. Nosila do sąsiadki, ale potem trzeba było odpracować to, co sąsiadka uszyła. To nie było za darmo.
 - Jasne. Różne to były, czy w pole pójść, czy coś.
 - No, czy kartofle (ziemniaki) kopać, czy przy młóceniu. To nie było łatwo. Mama siadała i sama kroila koszulę, mama sama kroila kalesony dla taty. Mama szyła wszystko ręcznie. Już później to ja już trochę pomagałam. Worki to pamiętam dobrze, że pomagałam mamie szyć. Ale jak nie przypominam sobie, może to była ta sama tkanina, to, co dajmy na to, na kalesony i na spodnią koszulę i może jeszcze zostawało na ręczniki. A ręczniki to były może o takiej szerokości, te do wycierania. Nie było kiedyś frote. Nie tak jak teraz. I ścierki i ręczniki. O, ręcznik to był ręcznik, i to był ręcznik ze lnu.
 - I u was jak praliście, to gotowaliście i można było wygotować do białego ten len, ręczniki.
 - Obowiązkowo! A później jeszcze jak już zesza tkanina z krosna, to latem wynosili gdzieś tam, jak to mówili na stronę, a najpierw trzeba było namoczyć. Zanieś na stronę, dobrze rozłóż. I słońce wybielało chyba. Tak mi się wydaje. To trzeba było kilka razy, zebrać, znów wynieść, rozłożyć żeby słońce wybielało.
-
- Fartuszek był przecie do roboty, żeby zanieść tam, czy jabłek nazbierać, czy jajka przynieść...
 - Czy jak o dla świni, namieszać tego ciasta, to trzeba było opasać się, żeby być czystym. A zawsze mama mówiła: „Idziesz do ludzi, ubierz się czyściutko, żebyś nie zaszła brudna, żeby się z ciebie nie wyśmiewali.” Czysto trzeba chodzić. I żeby chustka była czyściutka. A kiedyś spodni na co dzień nie było, kiedyś w spódnicach chodziły kobiety. Chustki, to starały się, żeby to były szalinówki.
 - Jakie?
 - Szalinówka. A skąd taka nazwa? Jeszcze po teściowej została, białe tło i w róże. To była szalinówka. A teraz też nazywają szalinówka. Nie?
 - Nie wiem.
 - Jak byliśmy w Milejczycach to każda była taką okryta, miała na plecach szalinówkę.
 - O proszę, to ja tego nie wiedziałam. Czy jakiś kolor był odpowiedni do święta? Wiadomo, że były ciemniejsze jak się szło do cerkwi jak był pogrzeb.
 - Nie. Jak post, to trzeba ciemne coś nakładać, to się nie nakładało jasnego. To było tak.